

Dojrzewanie do korzeni

Swym żywiołowym występem w amfiteatrze na Błoniach w Łowiczu podczas Biennale Folkloru w Boże Ciało zaskarbiły sobie serca widowni. Same natomiast poczuły się w pełni u siebie - choć swe domy mają 300 kilometrów stąd.

Siostry Agnieszka, Joanna i Bogusława z domu Wiesiołek, inicjatorki stworzenia ludowego, łowickiego zespołu "Łowiczanki z Krajny", wiedziały od zawsze, że ich dziadkowie pochodzą z łowickiego i że pod Piłę trafili wraz z kilkoma innymi i rodzinami spod Łowicza w roku 1945.

Wszystkie trzy mieszkały w dzieciństwie w małej wsi Leżenica Kolonia, w domu, który wcześniej zamieszkiwali ich dziadkowie: Marianna z d. Mikołajczyk i Franciszek Wiesiołkowie, pochodzący ona z Seligowa, on z Serok pod Łowiczem. - Bobiecko, Seroki, Zawady, Seligów... - to wszystko się łączy – mówi, potwierdzając dobrą znajomość łowickiego, Agnieszka Wiesiołek-Matusiak.

Dziadkowie zawsze im opowiadali, że pod Piłę przyjechali po wojnie. Te fragmenty Krajny, dzielnicy Polski oddzielającej Wielkopolskę od Pomorza, w przeciwieństwie np. do Sępólna Krajeńskiego, które zostało przywrócone Polsce po powstaniu wielkopolskim, były do 1945 w granicach Niemiec.

Ich gmina, Szydłowo, miało kiedyś w nazwie dodane słowo Krajeńskie. Jest położona między Piłą a Wałczem. Sama Piła była w granicach Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, po pierwszym rozbiorze została zajęta przez Prusy. – 173 lata niewoli – mówi Agnieszka.

- My zawsze wiedziałyśmy jako dzieci, że nasza babcia jest Łowiczanką – opowiada. – Nasz dom był w klimacie łowickim, zwłaszcza pokój babci.

- Była lalka łowicka, bety łowickie, mam kodrę, wycinankę łowicką – kontynuuje Bogusława Wiesiołek-Wieczorek. - Cała wioska była łowicka.

- Łóżko było zaścielone, na nim poukładane poduszki, nie wolno było tego dotykać – śmieją się siostry.
- Dla gości to było.

- Tak jak wyglądają chaty w skansenie w Maurzycach, tak w środku wyglądał nasz dom – opowiada Agnieszka. – Babcia go zrobiła w środku na łowicką chatę.

Decyzja egzystencjalna

Dziadek sam wspominał, że miał w Serokach 6 mórg (nieco ponad 3 ha) piachów, bardzo kiepskiej ziemi, a miał na utrzymaniu żonę, czwórkę dzieci, szukał dla siebie lepszych warunków, wiedział, że z tego tej gromady nie wyżywi. Choć przecież był bogaty, jako jedyny we wsi, który miał konia i krowę. Rok 1945 otworzył możliwość wyjazdu na Ziemię Odzyskane - i on z tej możliwości skorzystał. Pojechał pod Piłę jako pierwszy z wioski, wybrał dom, zostawił swego najstarszego syna, by tego domu pilnował i wrócił tu, sprzedał gospodarstwo, zabrał całą rodzinę i pojechał na Zachód.

Opowiadał potem (wnuczki przeczytały to w jakichś gazetach), że ważne było dla niego, że zabierali się w tę podróż razem, że wszyscy z jednej okolicy wyjeżdżali. Było to tak, że przez tydzień czy dwa na dworcu w Łowiczu były podstawione wagony, a rodziny chcące wyjechać miały czas, by się do tych wagonów spakować.

Dziadek znalazł się w gronie 10 rodzin, które do Krajny przyjechały jako pierwsze w maju 1945 roku. Były to rodziny Plichtów, Maratów, Karczewskich, Wiesiołków, Reczulskich, Malewskich, Rosińskich. I to oni w tej maleńkiej wsi, Leżenicy Kolonii, w tych tworzących ją raptem ośmiu rozrzuconych jedno daleko od drugiego gospodarstwach, postanowili, że stworzą swoje sołectwo. I nie poddali się, nawet w czasach najgorszej komuny nie dali się skolektywizować. Ich wioskę zaczęto nazywać "małym Łowiczem".

Przy czym nie tylko w Leżenicy Kolonii, ale i w innych wioskach w tamtej okolicy są pojedyncze rodziny, które pochodzą z Łowickiego. Na przykład w Leżenicy część jest z Łowickiego, część z Buga.

Polacy nie jak Ruscy

Gdy tam przyjechali, w domach były jeszcze Niemki, często wdowy z dziećmi, mężczyźni zniknęli. Polacy byli z początku skoszarowani w kilku domach i czekali aż Niemki opuszczą inne domostwa, dla nich przeznaczone. Siostry wiedzą z rodzinnych opowiadań i z późniejszych spotkań, że dziewczyna, która do wojny mieszkała w domu przejętym przez dziadka nazywała się Anna Schmikowsky. Niemki musiały opuścić swe domy do roku 1947. Ta, która u nich mieszkała, na pewno nie była tam dłużej. Mieszkała potem w Wuppertalu w Niemczech Zachodnich.

- Do Polaków miała szacunek, ale do Ruskich nie - wspominają siostry. Nie mogła mieć: żyła opowieściami o tym, jak przyszli Rosjanie: że gwałcili wszystkie te, które nie zdążyły wyjechać. Przeżyła to strasznie.

Z Polakami było inaczej. Po latach miło wspominała ten rok czy dwa, kiedy mieszkali razem. Po jakimś czasie, do chwili gdy zdrowie jej na to pozwalało, przyjeżdżała i odwiedzała swoją Heimata. - Wracata tu jak do domu – opowiada Agnieszka. – Była u nas przyjmowana zawsze z sercem.

Im, polskim dzieciom, wydawało się jednak wtedy, że ci Niemcy przyjeżdżają i szukają skarbów przez siebie ukrytych, bo tak chodzili i patrzyli wokół... – A może tym skarbem ta ziemia była, te wspomnienia? Ten sad, ta stodoła...? – rozumie emocje Joanna.

Zakasał rękawy

- Niektórzy powątpiewali w to, że pozostaniemy tu na zawsze, nie wiedzieli do końca czy to będzie ich, więc dziadek był odważny, bo pojechał tam ze wszystkim co miał. Przyjechali, zakasali rękawy, wzięli się do roboty. Pokochali tę ziemię. - Bo dla Księżaka ziemia jest najważniejsza, najbardziej cenna - mówi Joanna.

Tam, pod Piłą, każdy dom jest położony daleko od szosy i w oddaleniu jeden od drugiego nawet o 500 metrów. Gospodarstwa były więc duże, nie takie jak wtedy tutaj, pod Łowiczem. - Dziadek sobie jeden upatrzył - Joanna przypomina sobie, że było to gospodarstwo około 15-hektarowe. – Tatuś miał potem ze dwadzieścia parę – dodaje.

To były przepiękne gospodarstwa, z dużymi domami, pięknymi dużymi stodołami, murowane były stajnie, murowane domy, obudowane studnie. Był też sprzęt rolniczy, którego nowi osadnicy nie znali. – Gdy oni przyjechali na te ziemie, to nie wiedzieli do czego służy ten sprzęt – przypomina sobie opowieści rodziców Joanna.

Inaczej też była zorganizowana gospodarka: gnojownik był gromadzony z tyłu, za gospodarstwem, nie w środku gospodarstwa. A w ogrodach agrest był, czerwona porzeczka, renety, antonówki, papierówki, maliny, żółte maliny, śliwki żółte...

- Dziadek mówił w jednym ze wspomnień, że przyjechał tu ze swoimi kosami, cepami – dopowiada Bogusława. – I nie znał gleb, jakie tam są. Musiał się uczyć gospodarować na nowo, bo tam ziemia jest ciężka, co nie znaczy że żyzna, raczej gliniasta.

- Część osadników po kilku latach wróciła tutaj, pod Łowicz, bo tam nie potrafili sobie poradzić. Te powroty miały miejsce w latach 50. I wszystkie siostry potakują mówiąc, że było tych powrotów niemało. Ale Wiesiołkowie zostali. Choć niepewność czy Niemcy nie wrócą, była jeszcze w latach 60-tych.

Najmniejsze, najbardziej kolorowe

Obecnie w Leżenicy Kolonii mieszka około 50 osób, a mimo to jest to nadal odrębne sołectwo. Najmniejsze w tej gminie.

- Ale najbardziej znane, kolorowe i hałaśliwe – wtrąca ze śmiechem Bogusia. - Łowickie.

- My dzisiaj o tym przypominamy, ale zawsze wiedziałyśmy o naszych łowickich tradycjach. Dziadek nam puszczał w niedzielę łowickie piosenki, a babcia je śpiewała. Nagrywał z radia na magnetofon szpulowy. Ale nagrywał też nasze ciotki na weselach - opowiadają.

Babcia przekazała te wszystkie przyśpiewki łowickie swoim dzieciom, których było czworo: trzech chłopców, w tym ich tata Eugeniusz i dziewczynka. Bardzo dużo śpiewała też sama, na różnych uroczystościach rodzinnych: imieninach, urodzinach, chrztach, weselach.

- Wszyscy śpiewali, wszyscy... na weselach, poprawinach - opowiadają siostry.

Ich mama nie była Łowiczką, pochodziła spod Turku we wschodniej Wielkopolsce, ale mieszkała z babcią i dzięki temu przesiąkała tym wszystkim, co z łowickością związane. Dlatego do dziś podpowiada im czasem teksty piosenek czy przyśpiewek, których babcia nie zdążyła przekazać lub których one nie zapamiętały. - Mama bardzo dobrze się z babcią dogadywały - oceniają.

Choć pewnie łatwe to dla mamy nie było. - Ważne było dla Księżaków, żeby się trzymać razem. Księżacy się żenili z Księżankami, nawet mama wspominała, że jak ojciec wziął ślub z nią, nie-Księżanką, to było takie trochę "nie bardzo" – mówi Bogusia.

Dziadkowie mieli czwórkę dzieci urodzonych jeszcze pod Łowiczem, najstarsze z nich urodzone było w roku 1927. Potem przyszło na świat jeszcze piąte dziecko: urodzony w październiku 1946 roku ich ojciec, Eugeniusz. Tak jak pamiętają, to ojciec zawsze mówi o sobie, że jest już autochtonem, bo już rodził się w Wielkopolsce.

Odwiedziny "z centrum"

Liczne rodziny nie były wtedy ewenementem, przeciwnie. Bogusława, która przed kilku laty zaczęła się interesować rodzinną genealogią opowiada, że dotarła do historii ich prapradziadka: Mateusz Wiesiołek był gospodarzem w Bocheniu, potem kupił gospodarstwo w Zawadach, miał 18 dzieci z dwiema żonami. Z nich przeżyło tylko 9...

Liczne rodziny oznaczała liczne kontakty - i zmiana miejsca osiedlenia wcale ich nie zrywała. Jak wspominają siostry, ich nowy dom w Leżenicy Kolonii był przez cały czas pełen ludzi, bo rodziny się odwiedzały. – Cały Łowicz tam przyjeżdżał - wspomina Bogusława. - Babcia mówiła, że przyjeżdżają Łowicoki. Bardzo często się odwiedzali. - My się tak nie odwiedzamy jak oni. Zawsze była u nas masa ludzi. Do babci wszyscy „z centrum” przyjeżdżali. Na imieniny, na święta. Rodzeństwo babci, dziadka, rodzeństwo stryjeczne, ciotki, wujkowie... Pokolenie ich rodziców też było całe "łowickie", bo cała

Leżenica Kolonia, wszystkie 8 zagród, była zamieszкана przez ludzi spod Łowicza, a ich mama, pochodząca spod Turku, niewiele w tej sytuacji zmieniała, bo także wrosła w łowickie zwyczaje.

Babcia i jej siostra chodziły w pasiakach w niedzielę do kościoła, a ksiądz wspominał, że do lat 60. słyhać było w kościele łowickie śpiewy. Bogusia miał ślub w 1999 roku i pamięta, że jej wszystkie ciotki śpiewały łowickie przyspiewki na weselu.

Utracony strój

Ale upływ czasu robił swoje. Już ich mama nie sprawiła sobie łowickiego stroju i nie chodziła w nim do kościoła, zresztą w jej sytuacji byłoby to trochę sztuczne. A stroje babci? - Najbardziej przykre jest to, że babcia miała ten strój łowicki do czasu, gdy kiedyś przyjechał do nas jakiś zespół ludowy, babcia komuś uległa, pożyczyła jakiejś kobiecie z zespołu swój strój - a ta już go jej nie oddała. Zachował się tylko strój tej lalki, którą babcia sadzała na zaścienym łóżku. I mamy ten strój odnowiony, tylko sama lalka jest nowa. I jest nadal kodra po babci, przedstawiająca kwiaty...

To one zaczęły

Ta świadomość, skąd się jest, powoli się więc zacierała, ale jednak cały czas była. Co sprawiło, że nagle wybuchła z tak dużą siłą, że zaowocowała stworzeniem pod Piłą łowickiego zespołu? - Trzeba mieć trochę czasu, trochę pieniędzy, ale przede wszystkim trzeba do tego dojrzeć - mówi Agnieszka Wiesiołek-Matusiak.

Od kogo to się wzięło? - Od nas - odpowiadają zgodnie siostry. - Zaczęłyśmy szukać korzeni, publikować różne materiały...

Agnieszka była dziennikarką w lokalnej telewizji w Pile, obecnie jest rzecznikiem prasowym tamtejszego starostwa. Bogusława i Joanna są z zawodu księgowymi. Pasja szukania korzeni nie była więc w żaden sposób związana z ich życiem zawodowym, a jednak jest pasją autentyczną. Joanna prowadzi od dłuższego czasu na Facebooku osobisty profil poświęcony w dużej mierze właśnie aktywności na polu odkrywania i popularyzowania łowickich tradycji rodziny - i rodzinnej miejscowości.

A Bogusława od około trzech lat pasjonuje się genealogią, odkrywa stare księgi, opowiada stare historie, przepięknie to opisuje. Doszukała się rodowodu rodziny do 1683 roku! Jakim cudem? - aż prosi się zapytać. Bogusława nie widzi w tym nic dziwnego. - To byli Księżacy, włościanie, oni się nie przemieszczali, więc w księgach łatwo to znaleźć - opisuje.

Przywiązanie do ziemi było dla łowickich Księżaków ważne. - Opuścić ziemię to dla Księżaka była hańba, on się czuł z tym źle. Dlatego, gdy oni się przenieśli do Krajny, to postanowili jedną wioskę całą zasiedlić - wraca do opowieści z 1945 roku. - Dla dziadka było ważne, że on tam będzie mieszkał ze swoimi. I że może tam pracować na roli.

Bogusia twierdzi, że zajmuje się rodzinną genealogią wprawdzie dopiero od 3 lat, ale tak w to "wsiąka", że wypełnia jej to całkowicie czas wolny. Przyjeżdża bardzo często do Łowicza, dobrze zna już w miejskim archiwum, dobrze zna już księdza proboszcza z parafii św. Ducha, bo tam przeglądała księgi parafialne. Zadawała sobie trud tłumaczeń starych dokumentów z rosyjskiego, zwracała się o akta dziadka do IPN.

Joanna z kolei nawiązała kontakty z twórczyniami ludowymi z Łowicza i dba o ich stroje księżackie. Przed kilku laty bowiem siostry uświadomiły sobie, że chcą mieć dla siebie stroje księżackie. Nie dla zespołu, bo myśl o zespole pojawia się dopiero na końcu całej tej historii - lecz tak po prostu dla siebie.

Stare, ale pięknie odnowione

Zaczęły szukać osób, które przechowywały jeszcze w domach stare stroje księżackie. Musiały szukać tutaj, pod Łowiczem, bo tam, w Krajnie już nikt ich nie miał. Kupowały więc te stare stroje tutaj i dowiedziawszy się, że są w Łowiczu osoby zajmujące się renowacją strojów, trafiły do pań Karoliny i Anny Majchrzak – i im to zadanie powierzyły. Nie poprzestały na jednym, dziś mają ich łącznie siedem kobiecych i cztery męskie. Nikomu ich nie pożyczają, używają tylko na potrzeby własne, bo je bardzo cenią: każdy z tych strojów jest wiekowy, ale każdy pięknie odnowiony, każdy cieszy oczy. Podczas występu w amfiteatrze w Boże Ciało Agnieszka dostrzegła na widowni panią Annę Majchrzak - i publicznie jej dziękowała.

- Moja babcia z siostrą chodziły w tych strojach do kościoła, potem już długo, długo nikt – i dopiero my - mówi z satysfakcją w głosie Joanna.

Wyśpiewać emocje

I dopiero potem przyszedł czas na stworzenie zespołu. Chciały, zakładając go, dać wyraz temu, co im w głębi duszy grało, wyrazić emocje związane z przypominaniem sobie obrazów z dzieciństwa, ze staraniami ojca, który nagrywał na magnetofonie łowickie piosenki, wyśpiewać to, co dawno temu ich uszy słyszały... Emocje najlepiej oddaje się przez muzykę, przez śpiew, było więc naturalne, że jeśli pasiaki, jeśli wspomnienia, jeśli odkrywanie lub choćby nawet tylko przypominanie korzeni - to musi być zespół.

Tworzą go obecnie one trzy, ich siostra cioteczna Małgorzata Krajniak, Kazimierz Stępień grający na akordeonie oraz Włodzimierz Paprocki. Poza panem Kazimierzem wszyscy tylko śpiewają. Pan Kazimierz pracował z Bogusią, był mechanikiem maszyn szwalniczych, przeszedł na emeryturę, na akordeonie grał dla siebie i z tego grania dla siebie, „w piwnicy” – jak to określają, właśnie Bogusia go wyciągnęła, proponując granie z nimi i dla nich.

Szukają obecnie jeszcze do zespołu skrzypka, ale zastrzegają, że musi to być ktoś, kto "czuje" tę ludową nutę. Ludową, nie biesiadną – podkreślają.

Po raz pierwszy wystąpiły 3 lata temu na 400-leciu parafii w Róży Wielkiej, ich parafii. Potem zaczęły się zaproszenia z KGW, z sołectw, gdzieś rozeszła się fama o nich, wystąpiły na Krajna Folk Festival, mają spotkania z UTW, bywają zapraszane na szkolne festyny, występują na dożynkach sołeckich. Były nawet w Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym z koncertem bożonarodzeniowym – i ci młodzi, trudni ludzie byli zachwyceni. Zorganizowały nawet Łowicko-Krajeńskie Spotkania z Kulturą Ludową.

Zapytane, czy przez ten czas wystąpiły już kilkanaście czy może raczej kilkadziesiąt razy, odpowiadają, że zdecydowanie to drugie: nie potrafią już zliczyć wszystkich występów.

Przefiltrowane przez inną wrażliwość

Śpiewają żywołowo. Znaczący łowickiej kultury muzycznej pewnie powiedzą, że to jest śpiewanie mało mające wspólnego z autentyzmem. Po pierwsze jednak: nawet zespoły ludowe o ustabilizowanej pozycji pozwalają sobie na interpretacje stylizowane, nawiązujące do innych motywów, czerpiące z innych tradycji, a po drugie... No właśnie: siostry Wiesiołek doskonale zdają sobie sprawę z tego, że będąc Łowiczankami z tradycji, są jednak już trochę inne, bo czym innym przez dziesięciolecia nasiąkały.

- Nasze postrzeganie folkloru jest przefiltrowane przez naszą wrażliwość, przez odległość, przez nasze wzrastanie w nucie wielkopolskiej... - zauważa Joanna.

Bogusia dopowiada: - Ja się śmieję, że my, łowiczanki, obchodzimy Pulter, czyli niemiecki zwyczaj weselny polegający na tym, że do panny, która nazajutrz ma wyjść za mąż, przynoszą worek z butelkami, rozbijają jej na progu, a ona musi to wszystko pozamiatać i wódkę na to postawić. Przy czym im więcej butelek, im więcej szkła – tym lepsza panna młoda. Bardzo wzrastałyśmy w łowickiej kulturze, ale nasiąkałyśmy też już czymś innym.

Dlatego sięgają po różne polskie piosenki ludowe, niekoniecznie i nie tylko łowickie. Oczywiście, te łowickie są najważniejsze. Po teksty sięgają do tego co się zachowało w domu, do książki Mariana Moskwy wydanej przez ŁOK, ale i do nagrań, zachowanych po tacie.

- Ale musimy to na swoje przerobić, zobaczyć, czy się w tym czujemy - dodaje Joanna. - No i każdy występ jest inny, mamy jakąś pulę swoich utworów, ale zawsze się zastanawiamy co zaśpiewamy jutro, decyzja jest podejmowana przed samym koncertem..

- To nie jest tak, że mamy jakieś cudowne głosy, ale mamy serce – mówi Agnieszka Wiesiołek-Matusiak. - Naszą misją jest przekazywanie jak ważne są korzenie.

O tym trzeba rozmawiać

Dlatego podczas koncertów najczęściej właśnie ona opowiada słuchaczom skąd się te budzące zrozumiałą sensację stroje biorą, dlaczego wyglądają tak a nie inaczej, mówi ile ważą, dlaczego są tak haftowane.

- Ja zawsze apeluję o to, by poznawać, rozmawiać o swoich korzeniach, niezależnie od tego jakie kto ma. Myślę, że to co pokazujemy jest cenne - mówi Agnieszka.

Bowiem Krajna to jest konglomerat różnych ludzi, którzy tam się osiedlili po wojnie. Są tam Polacy zza Buga, o których mówiło się „Ukraińcy”, są Wielkopolanie, są Łowiczanie. Wspólnym mianownikiem historii rodzinnych wszystkich osadników, którzy tam teraz mieszkają, jest to, że jest to historia krótka. - To jest historia od 1945 roku, a my wracamy do czasów wcześniejszych, odsłaniamy to, co nam przekazali dziadkowie - opisuje Agnieszka.

Dlatego tak ich fascynuje każdorazowy pobyt w Łowiczu czy jego okolicy, gdzie każda wizyta na cmentarzu owocuje odkrywaniem starych grobów, nawet jeszcze z czasów powstania styczniowego - bo w Krajnie najwcześniejsze polskie groby są z lat 50. i 60.

Siostry zauważają, że szukanie rodzinnych korzeni wcale nie jest tam, za Notecią, powszechne – ale tym się nie przejmują, tylko do tego zainteresowania zachęcają. - My też nie mamy czasu - odpowiada Agnieszka na często przywoływany argument o braku czasu - ale do tego trzeba dojrzeć. Zobaczyc co możemy zrobić dla siebie i dla innych teraz, gdy już dzieci dorosły.

Pozostać niezależnym

Nie działają przy żadnym domu kultury, wszystko robią same dla siebie. - Na razie robimy to, co nam w sercu gra i w duszy gra... - mówią jedna przez drugą. - Nie chcemy być od nikogo zależne - precyzuje Joanna.

To ma swoją cenę: na występach nie zarabiają, na występy poświęcają dużą część swego wolnego czasu. Jeśli imprezy są popołudniu, to dają radę godzić je z pracą, ale bywa, że są przedpołudniem – wtedy biorą urlopy.

Rodzinny zjazd

31 maja tego roku zorganizowały zjazd rodzinny Wiesiołków i wtedy te stroje przywdziały ponownie. Zjazd był przez duże Z: potomstwo Marianny i Franciszka Wiesiołków rozrosło się już w międzyczasie do 120 osób. Większość z nich mieszka w Leżenicy Kolonii, część w Pile, niektóre osoby w Poznaniu i w Warszawie.

Marianna i Franciszek... Dziadkowie z Łowickiego. W rodzinie nie ukrywano, że było to małżeństwo aranżowane. Choć byli z sąsiednich wsi, ona poznała swego przyszłego męża dopiero przy zrękowinach. - On miał morgi, babcia była młoda, ładna i wesoła, on gospodarny - opowiada Bogusława Wiesiołek-Wieczorek.

A jednak przeżyli ze sobą całe życie. 50. rocznicę ślubu obchodzili w lutym 1976 roku, Franciszek zmarł w listopadzie tegoż roku.

Najmłodszy z ich dzieci, jedyny krajeński "autochton", Eugeniusz, miał ze swą żoną Ireną z domu Ostojką, Wielkopolanką, aż ośmioro dzieci. Trzy z nich to nasze rozmówczynie: Agnieszka, Joanna i Bogusława. Ich ojciec zginął tragicznie w roku 1987 w wypadku samochodowym, wypadek ten cudem przeżyła ich mama, jadąca obok. Wszystkie darzą ją ogromną wdzięcznością za to, że mimo tak trudnej sytuacji nie załamała się, tylko każde z dzieci dobrze wyposażyła na życie, materialnie i emocjonalnie.

Czy dzieci założą pasiaki?

Same teraz wychowują swoje dzieci, kolejne pokolenie. Na ile będzie "łowickie"?

Bogusia ma dwóch chłopców, Jakuba i Krzysztofa. Gdy tak pewnego razu szperała w Internecie, przeszukując archiwa, zapytali ją: Po co to robisz? - Żebyś wiedział, że jesteś Polakiem, że jesteś chrześcijaninem, że twoi przodkowie są stąd: z Księstwa Łowickiego, z Polski. Żebyś wiedział, że masz kręgosłup i żebyś był dumny z tego, że jesteś Polakiem - odpowiedziała.

Joanna ma córkę i syna, córka Zuzanna robi często zdjęcia podczas ich występów, zresztą w fotografowaniu ma sukcesy, jest doceniana. Adam gra na gitarze. Bogusia zapytała go kiedyś, czy nie chciałby nauczyć się grać na akordeonie, odpowiedział, że jeszcze do tego nie dorósł. Ale rodzeństwo potrafi śpiewać łowickie piosenki, nie raz rozbrzmiewają one na ich podwórku.

Agnieszka też ma dwójkę dzieci. Syn kończy I rok na Politechnice Poznańskiej i nie jest jeszcze na tym etapie, by fascynował się rodzinnymi dziejami i tym, co się z nimi wiąże. Swą mamę postrzega jako nieco "zakręconą". Córka Marysia jest bardziej na tradycję otwarta, pięknie wygląda w stroju łowickim. Agnieszka bardzo by chciała za rok na Boże Ciało ubrać jej 8-miesięcznego obecnie synka Stasia w strój łowicki.

- Mamy nadzieję, że pokolenie naszych dzieci skorzysta z tej wiedzy, którą my, siostry, zdobyliśmy, że to będzie dla nich ważne - deklaruje Agnieszka. - Trzeba do tego po prostu dorosnąć.

- Nasze hasło to: Bez korzeni nie zakwitniesz – dodaje Bogusia. Nie ukrywa, że nie jest to jej własne hasło, zostało zapożyczony z jakiegoś konkursu genealogicznego, ale bardzo im się spodobało, jako opisujące to, co czują, co przeżywają.

Boże Ciało

Na Bożym Ciele zjawiły się z własnej inicjatywy. Agnieszka po prostu zadzwoniła do ŁOK i je przedstawiła. - Chciałyśmy pokazać, że kultura łowicka, księżacka, jest nie tylko tu.- Jesteśmy bardzo wdzięczni dyrekcji ośrodka kultury za to, że nas zaprosili.

Cieszą się nie tylko z tego konkretnego występu, ale też z tego, co się stało w ostatnich latach: że ich kontakty z Łowiczem stały się częstsze. Wcześniej, gdy po samochodowej tragedii mama została sama z ósemką dzieci, nie było czasu ani pieniędzy na te podróże. Wtedy więc raczej Łowiczaki przyjeżdżali do nich. One same zaczęły jeździć do Łowicza, gdy już mogły sobie na to pozwolić finansowo, gdy miały czas i gdy dzieci podrosły.

Tegoroczna procesja Bożego Ciała była już trzecią, w której wzięły udział. Za każdym razem szły z chorągwią od św. Ducha, było to dla nich oczywiste, że winny iść z parafią ich przodków.

Dom

Bogusia zdradza swą małą tajemnicę: - Gdy mam zły dzień, to wsiadam rano w Pile w pociąg, nikomu nic nie mówię i przyjeżdżam do Łowicza. Spędzam tu cały dzień i wieczorem wracam. Tutaj wiem, że jestem u siebie, tutaj dobrze się czuję, spotykam się z księżmi, z dziewczynami z archiwum... Tu "ładuję baterie".

Joanna i Bogusława przyjeżdżają w Łowickie nieco częściej, Agnieszka ma mniej urlopu, ale też chętnie się zabiera gdy może. Bo mają do kogo przyjeżdżać - i nie chodzi tylko o dalszą rodzinę. Mają już tutaj wielu znajomych. Także w tym miejscu, gdzie dziadek mieszkał przed wojną, w Serokach. Mieszkają tam teraz państwo Stanisław i Iwona Pawłowscy.

Gdy Bogusia i Joasia przyjechały tam po raz pierwszy, była zima. Wpadły właściwie będąc przejazdem, nie był to główny cel ich wyjazdu. Ale korciło je, by zobaczyć miejsce, z którego wyemigrował Franciszek. Zapytały w sklepie o sołtysa, bo nie знаły adresu. Trafiły do wskazanego domu, zadzwoniły. Otworzyła im kobieta, opowiedziały o co im chodzi, że poszukują domu, w którym do czasu wojny mieszkał ich dziadek...

- Poczekajcie, zawołam męża - usłyszały. Przyszedł, opowiadają wszystko ponownie, a on: To tu!

- To był szok - opowiadają. Okazało się, że obecny dom Pawłowskich został pobudowany na fundamentach domu Franciszka Wiesiołka.

Od tego czasu zaprzyjaźnili się, odwiedzają się nawzajem.

A obecnie zdarza się, że Wiesiołkowie spod Łowicza dzwonią do Bogusi z zapytaniem o to, kim jest dla nich taki czy inny Wiesiołek.

Bo kto może to lepiej wiedzieć niż jedna z siostrz z Krajny, która przewertowała wszelkie możliwe księgi, na podstawie których można odtworzyć rodzinne dzieje? Jedna z trzech siostrz, które po latach, daleko od rodzinnego gniazda, dojrzały do swych korzeni?